Nr. 35 (1649). Warszawa, 31 sierpnia 1912 r. Rok XXXII

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY SPOŁECZNY I LITERACKI

Redakcja i Administracja Włodzimierska 5 Telefon 73-80

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Niespodzianki polityczne.

Stała się rzecz nieprzewidziana przez żadnego z naszych augurów politycznych: o wyborze posła z Warszawy decydować będzie jej ludność żydowska.

Kimkolwiek będzie ten wybraniec i przedstawiciel stolicy, Polakiem mojżeszowego, katolickiego czy innego wyznania, Żydem asymilowanym z polskością, litwakiem, czy sjonistą — uzyska on mandat dzięki Żydom, bo bez nich zdobyć go już dziś żadną miarą nie można.

Jeśli byli w projekcie kandydaci antysemici, muszą albo przestać być kandydatami, albo zrzec się antysemityzmu. Ciężka próba na tych, którzy par force do czwartej Dumy dostać się chcieli, a sądzili, że trafią do niej po udeptanej przez trzykrotne wybory ścieżce. Rozpaczliwe położenie wymaga od nich oczywiście nagłej zmiany programów i haseł wyborczych. Najbliższa przyszłość okaże, jak się dokona owa wolta polityczna.

Przyszłość ta niewątpliwie pociechy nam nie przyniesie. Nie mając zdawna żadnych złudzeń co do czwartej Dumy i czwartego Koła, nie doznamy też zbyt przygnębiającego rozczarowania. Gdybyśmy mogli stanąć wyłącznie na stanowisku obserwacyjnym, w braku pociechy możnaby mieć nie mało uciechy. Sytuacja jest istotnie, jak słusznie zauważono, groteskowa. Warszawa będzie miała dwóch posłów od dwóch mniejszości i na tym koniec.

Komu zbyt smutno na duszy, kto zbyt poważnie bierze sprawę publiczną, by mógł się śmiać z ciekawego widowiska, jakie przedstawiać będzie ta jedyna w swym rodzaju kampanja wyborcza, ten jednak nie powinien od niej odwracać oczu, lecz pilnie śledząc jej przebieg, czerpać nauki z bolesnych doświadczeń. Są jednostki, klasy, narody całe — niezdolne nawet z najcięższych doświadczeń czerpać nauki. Fakty dla nich nie istnieją, jeśli przemawiają inną mową niż ta, która ich ucho pieści, lub ta, do której przywykli.

„Polak mądry po szkodzie" — mówi przysłowie; gdyby mądrość była proporcjonalną do rozmiarów szkód poniesionych — jakże niezmierzoną byłaby mądrość Polaka!

Niestety, jest ona bardzo ograniczoną i zwraca się wyłącznie do przeszłości. Każdemu z nas zdaje się, że doskonale wiedziałby, co robić, gdyby był żył przed stu laty, przed pół wiekiem, a jeszcze lepiej, gdyby się mógł cofnąć o lat trzysta. Jest to złudzenie, płynące stąd, że podręczniki i monografje historyczne dostarczyły mu tych informacji, których ówczesnemu pokoleniu brakło. Mądrość polityczna nie na tym polega, by sądzić przeszłość, lecz by przewidywać przyszłość na mocy gruntownej znajomości tego, co było, a przedewszystkim tego, co jest. Dokładne i wielostronne informacje starczą nieraz za dar proroczy. Do społeczeństwa stosować trzeba mądrą radę Greka: „Poznaj sam siebie".

Jak wygląda regulamin wyborczy, o tym objaśniano wyraźnie we wszystkich dziennikach; jak się przedstawia sytuacja wyborcza, nie pisał nikt. Jedno tylko było rzeczą jasną i widoczną: ogólna i aż nadto zrozumiała niechęć i apatja, objaw no-

łowany zresztą na całym obszarze państwa, jako wyraz doszczętnego uspokojenia. Dziś nad bezpośrednim, nieuchronnym następstwem tego nastroju rozdzierają szaty ci właśnie, którzy nigdy nie mieli dla narodu innej recepty nad zalecanie spokoju we wszelkich momentach i warunkach, ci, którzy śmiertelnym strachem zdjęci widzieli wciąż przed sobą widmo rozkiełznanych politycznych namiętności, zalecali zgodę za wszelką cenę nie wahając się nawet dowodzić że wszystko jedno, jakie przekonania polityczne wyznawać będzie ten lub ów poseł, a choćby całe Koło polskie, bo najważniejszą cnotą polityczną jest poświęcanie własnych przekonań na ołtarzu pokoju. Bezkrwiste mózgi stale okładami lodowymi ochładzane doprowadziły powszechną bierność do tego ideału, że polityką rządzi już tylko ślepy przypadek.

Rzucono przypuszczenie, że dawni organizatorowie wyborów rozmyślnie zaniedbali agitację wśród wyborców z małych lokali, by nie zwiększać zastępów swych politycznych przeciwników, gdyż ich polityczna ideologja i taktyka już tylko w wielkich i kosztownych apartamentach cieszyła się pewną miarą uznania. Sądzimy, że nie należy panu Dmowskiemu i Sp. przypisywać tak wyrafinowanej przebiegłości. Nie każdy jest głębokim politykiem, kto się chytrze uśmiecha. Spółka polityczna, dotąd odnosząca sukcesy w kampanji wyborczej, pocichutku zbankrutowała. Pozostała jej firma, ale zabrakło i środków i sił wykonawczych. Zeszłoroczny krach po słynnej odezwie bojkotowej naraził ją na utratę całej niemal armji agitatorów i agitatorek, którą mobilizowano trzykrotnie dla zdobycia mandatów. Wygrywała endecja li tylko dzięki swej organizacji; ta organizacja została zupełnie rozbita i to nie pod naporem zewnętrznym, lecz wprost rozprysnęła się skutkiem wewnętrznej eksplozji — wywołanej niebacznie przez jej własnych wodzów. Na miejsce tej organizacji ani obok niej nie skrystalizowała się żadna inna, a zaimprowizować ją na czas wyborów jest przedsięwzięciem z góry skazanym na fiasko. Takie formacje doraźne bywają zawsze kruche i nie wytrzymają najlżejszego naporu.

I po stronie żydowskiej nie rozwijano zbyt gorliwej agitacji, jak wykazują cyfry, lecz przypuściwszy nawet, że stronnictwa polityczne w społeczeństwie żydowskim nie są bardziej zwarte i skrystalizowane niż u nas, pozostaje tam jeszcze wyznaniowa organizacja, przekazana nam w spadku po Rzeczypospolitej, która stanowiąc legalne i tradycją uświęcone centrum życia publicznego, chroni od zupełnego rozproszkowania, przeciw któremu nam trudno się bronić.

Oprócz tego wyniku przewagi mają Żydzi i inny jeszcze, — korzystną dla siebie ordynację wyborczą. Gdzie podstawą praw wyborczych jest cenzus mieszkaniowy, tam wytwarza się przywilej polityczny sklepikarzy, dla których komorne wlicza się do kosztów produkcji, z krzywdą proletarjatu fabrycznego czy inteligenckiego, który musi je ograniczać jako wydatek osobisty. Gdy w Dumie czy poza Dumą dyskutowano projekt samorządu, kwestją cenzusu mieszkaniowego pozostawiono nietkniętą i wmawiano w społeczeństwo, że jedynym probierzem demokratyczności ustawy wyborczej jest stosunek do równouprawnienia Żydów. Tuszowano tę okoliczność, że prawo wyborcze przywiązane do nieruchomości lub wysokiego komornego stwarza przywilej dla Żydów i to tak wielki, iż w Łodzi, gdzie Żydzi stanowią nie więcej niż czwartą część ludności, wśród wyborców do rady miejskiej mieliby wedle cenzusu samorządowego stanowczą większość. Demokratyzm polega na kasowaniu przywilejów, lecz nie na podtrzymywaniu jednych a obalaniu innych zależnie od tego, kto jest uprzywilejowanym. Trzecim czynnikiem przewagi jest rozmieszczenie wyborców w poszczególnych okręgach. W krajach posiadających praktykę życia konstytucyjnego jest to dobrze znane zjawisko, że stronnictwa mające mniejszość w kraju stanowią większość w parlamencie, jeżeli są skupione terytorjalnie w sposób dla siebie korzystny. Mamy i u nas stosunek analogiczny w miastach: Żydzi stanowią nie więcej niż 40 proc. miejskiej ludności Królestwa Polskiego, lecz posiadają absolutną większość w najmniejszych miasteczkach i ze 116 miast Królestwa Polskiego więcej niż $^{2}/_{3}$ mogłoby wybrać Żydów, gdyby miasta stanowiły okręgi wyborcze. Może doświadczenia, zebrane w ciągu nadchodzącej kampanji przyczynią się poniekąd do pogłębienia i rozszerzenia dyskusji o samorządzie miejskim, jeśli sprawa samorządu znowu wejdzie na porządek dzienny.

Nietylko na warunki akcji politycznej lecz i na osoby i grupy działające nowe spadnie światło. Nagłe zmiany sytuacji mają tę dobrą stronę, że nikt nie zdąży odpowiednio do nich ułożyć sobie pozy, lecz reaguje odruchem, który jest najszczerszym wyrazem jego natury.

Nie długo czekając, już dziś przychwyciliśmy kilka znamiennych gestów.

Realiści zawarli sojusz z p. Dmowskim jako z macherem politycznym. Pan Dmowski, który wszelkie patryjotyczne sztandary zwinął jako zbyt kosztowne, zachował na razie jeden najtańszy najmniej ryzykowny, strzęp dawnej parady — chorągiewkę antysemicką. Pokazuje się, że i to niepraktyczne. Ale od czego sposoby? Przewiduje tedy kompromis z Żydami. Bardzo logicznie i konsekwentnie. Wszakże jego metoda polityczna polegała zawsze na trzymaniu z większością, bo tylko ona coś zrobić może. W imię tej idei przewodniej zjadało się z październikowcami i prawicą obiady u Cubata. Czemużby teraz z panem Jackanem nie spożyć szczupaka po żydowsku, jeśli tego sprawa publiczna wymaga? Dla kogo zasadą jest nie mieć żadnych zasad, ten nigdy nie znajdzie się w kłopocie.

Poczekajmy chwilkę a zobaczymy jeszcze wiele pouczających rzeczy we wszystkich obozach, gdyż każdy ukaże nam teraz swoją właściwą twarz. Uczmy się tylko w tych twarzach czytać, bo to nam się przyda za pięć lat.

Przegląd polityczny.

Mimo wciąż ponawianych oficjalnych zaprzeczeń zarówno z włoskiej, jak z tureckiej strony, coraz jawniejszym staje się fakt, że pełnomocnicy obu mocarstw walczących toczą przedwstępne układy nad jeziorem genewskim. Obecnie i turecki następca tronu znajduje się w pobliżu owego zakątka, w którym ważą się losy jego kraju, to jest po drugiej stronie Lemanu, w Lozannie. Ten pokrywany zasłoną tajemniczy zjazd pełnomocników Turcji i Włoch jest zjawiskiem wyjątkowym, ile razy bowiem wojna zbliżała się ku końcowi, w układach pokojowych pośredniczyły lub brały udział mocarstwa neutralne. Widocznie mimo krwawego zatargu istniejącego między Włochami a Turcją oba państwa mają ochotę obejść się bez kosztownych pośredników. Dążenie to jest bardzo zrozumiałe ze względu na nadmierną liczebność amatorów gratisowej biesiady przy bałkańskim bufecie politycznym oraz nieuniknionego uczestnictwa w niej bardzo wygłodzonych chudopachołków, którzy w tym wyjątkowym wypadku musieli by być dopuszczeni do stołu jaśnie państwa.

Mowa tu naturalnie o najbliżej zainteresowanych małych państewkach bałkańskich, posiadających naturalne i dawne, choć nieprzedawnione prawa do spadku po „chorym człowieku".

Dziś wszystkie te państewka bałkańskie znajdują się w pogotowiu wojennym. Czarnogóra już była rozpoczęła akcję zbrojną, którą zaledwie zdołano zahamować, unikając nawet nazwy „wojna", ażeby nie wszczynać niebezpiecznego alarmu. Wybuch wojny na granicy bułgarsko-macedońskiej był już bardzo bliski, a stan rzeczy i dotychczas bynajmniej ułagodzony nie został, gdyż opinja publiczna, rozjątrzona pogromem w Koczanie, na gwałt domaga się walki z Turcją. Pospolite ruszenie tych maleńkich armji na wspólnego a obezwładnionego wroga, musiałoby wprawić w ruch wszystkich ich potężnych opiekunów, byłoby więc jednoznaczne z roznieceniem wojny europejskiej.

Temu podobno pragnął zapobiedz hrabia Berchtold, gdy imieniem Austrji wystosował swój okólnik do mocarstw europejskich, wzywając je do łącznej interwencji w sprawach bałkańskich. Treść i znaczenie tego memorjału dotychczas nie zostały jeszcze należycie wyjaśnione, w każdym razie jednak był on silnym i donośnym napomnieniem, że mimo różnych poufnych zjazdów politycznych, które się w ostatnich czasach odbyły, w których przedmiotem niewątpliwie musiały być sprawy Bliskiego Wschodu, niczego w tych sprawach przedsięwziąć a tym mniej postanowić nie można bez udziału Austrji. Ta ostatnia ma podwójny tytuł do interwencji, raz jako jedno z mocarstw opiekuńczych, tułących pod swymi skrzydłami uciśnione maleństwa bałkańskie, powtóre jako bezpośrednia sąsiadka i współmieszkanka półwyspu, od czasu wcielenia Bośni i Hercogowiny w obręb monarchji Habsburgów.

Załatwienie układów pokojowych w Caux we cztery oczy, samo przez się dość trudne, nie odpowiadałoby jej interesom w tym stopniu, co projektowana przez nią konferencja międzypaństwowa.

Być może, że tym się poniekąd tłómaczy wycieczka Wilhelma II-go do Szwajcarji, podjęta właśnie w chwili, gdy tam wiążą się losy Bliskiego Wschodu. Koronowany turysta dotychczas stale spędzał lato na morzu nie w górach i zapewne nie zapał alpinisty skłonił go do tej niezwykłej marszruty. Znane jego niespokojne natręctwo, skłaniające do pojawienie się tam, gdzie ani jest pożądany, ani potrzebny, gdzie się dzieje bez niego coś, w czym koniecznie chce brać udział, kazało mu może i tym razem odegrać osobiście rolę swego własnego wywiadowcy.

Równocześnie na widowni walki zapanowała niezwykła nawet w tej wojnie cisza i nawet prasa zapomnieć mogła, że zwaśnione mocarstwa jeszcze się w zasadzie biją. Od samego początku zanosiło się na to, że partja będzie nierozegraną, a dziś jest już zupełnie wyraźną rzeczą, że nie można jej rozegrać we dwoje. Pytanie, czy ją będzie można we dwoje przerwać i porzucić.

Polskie parcie na wschód w świetle statystyki.

(Dokończenie.)

Przy porównywaniu wyników spisu ostatniego z danemi 1900 r. musimy stwierdzić nadzwyczaj silny przyrost liczby osób, używających języka polskiego, wskutek czego ich udział procentowy w całej ludności kraju podskoczył z 54,56 proc. na 58,56 proc. Jednocześnie udział osób, używających innego języka, obniżył się dość znacznie—w rubryce ruskiej o 2,11, w niemieckiej o 1,78. Ten kierunek rozwoju daje się zauważyć już od r. 1880-ego, kiedy poraz pierwszy uwzględniono język towarzyski ludności. Ale w ostatnim dziesięcioleciu zaznaczył się on szczególnie wyraźnie, jak to widać z przytoczonego zestawienia:

Język towarz.	1880		1890	
polski	3,59,2280	(51,52°/₀)	3,581,996	(53,49°/₀)
ruski	2,551,594	(42,97 „)	2,826,262	(42,96 „)
niemiecki	323,612	(5,45 „)	227,158	(3,45 „)
inny	4,033	(0,06 „)	6,419	(0,10 „)

Język towarz.	1900		1910	
polski	3,982,0[illegible]3	(54,57°/₀)	4,675,612	(58,57°/₀)
ruski	3,080,543	(42,29 „)	3,207,784	(40,18 „)
niemiecki	212,327	(2,91 „)	90,416	(1,13 „)
inny	9,800	(0,13 „)	10,337	(0,13 „)

Ten wzrost języka polskiego kosztem dwóch innych języków krajowych odbywał się w obydwóch częściach Galicji, jednakże we wschodniej daleko silniej. W r. 1800-ym w Galicji wschodniej Polaków było 1,076,967 (28,08 proc.,) w r. 1890-ym — 1,338,899 (31,18) w dziesięć lat później, 1,611,501 (35,59 proc.,) wreszcie podczas ostatniego spisu — 2,114,792 (39.77). Jednocześnie procent Rusinów spadał tam stopniowo z 64,65 na 64,12, 62,01 i 58,91.

Jak w całym kraju, tak i w poszczególnych powiatach wzrósł przedewszystkim udział procentowy ludności polskiej, obniżył się zaś — ludności ruskiej i niemieckiej. Na obszarze Galicji wschodniej żywioł polski wszędzie się wzmógł z wyjątkiem czterech powiatów (peczeniżyńskiego, brzozowskiego, żółkiewskiego i podhajeckiego). Cyfra procentowa ludności ruskiej w przeważnej części powiatów cofnęła się, zwiększyła się zaś w mieście Lwowie i w siedmiu powiatach i w Dolinie, Bohorodczach, Peczeniżynie, Kosowie, Brzozowie Żółkwi i Podhajcach.

Rozwój ludności, posługującej się językiem polskim w Galicji wschodniej przedstawia się nam wyraźnie, jeśli porównamy jej przyrost od spisu do spisu.

Ludność polska Galicji wschodniej.

Rok	Ogół	proc.
1880	1,076,967	28.08
1890	1,338,899	31,18
1900	1,611,501	35,59
1910	2,114,792	39,77

Od r. 1880-go do 1910 we wschodniej Galicji przybyło 1,037,825 ludności, przyznającej się do języka polskiego, czyli 96,1 proc., gdy ludności ruskiej tylko 654,025 t. j. 26,4 proc. Według poszczególnych dziesięcioleci przyrost ten rozkłada się w sposób następujący:

	1880 - 1800	1890 — 1900
u Polaków	261,932 (24,3 proc.)	272,602 (20,4 proc.)
u Rusinów	275,058 (11,1 proc.)	250,046 (9,1 proc.)

1900 — 1910

u Polaków 503,291 (31,2 proc.)
u Rusinów 128,859 (4,3 proc.)

Od r. 1880-ego do 1910 liczba osób, posługujących się w życiu potocznym mową polską, wzrosła w całym kraju dwa razy silniej, w Galicji wschodniej nawet prawie cztery razy silniej od liczby osób, mówiących po rusku. Nadzwyczaj szybki rozwój żywiołu polskiego w Galicji wschodniej jest przyczyną faktu, że w tej części kraju mieszka coraz znaczniejsza część ogółu ludności polskiej kraju. Tak z 1000 ludności polskiej Galicji na jej połać wschodnią przypadało w r. 1880, - 352, w r. 1890—381, w 1900 — 405, wreszcie w r. 1910 — aż 452.

Wszystkie powyższe fakty i cyfry ilustrują jaknajdobitniej polskie parcie ku wschodowi na terenie Galicji. Jeśli pominiemy takie czynniki jak asymilacja (właściwie polityczna) żydów, przyznających się obecnie do języka polskiego zamiast niemieckiego, jak było dawniej, lub większy przyrost naturalny ludności polskiej, to będziemy mieli do czynienia głównie z imigracją i emigracją. Na teren wschodniej Galicji płynie znaczna liczba Polaków z zachodu. Imigrację tę możemy stwierdzić nawet jeszcze dalej w kierunku wschodnim — na Bukowinie. Jakkolwiek dane szczegółowe, dotyczące wyniku ostatniego spisu ludności w tym kraju, nie zostały jeszcze ogłoszone, to jednak wiadomo już, że ze wszystkich narodowości miejscowych największy przyrost wykazali Polacy (stanowiący tam zresztą drobną mniejszość ludności). Natomiast emigracja z terenu wschodnio-galicyjskiego, wzmagająca się coraz bardziej, ogarnia przedewszystkim Rusinów, jakeśmy to już wiedzieli przy analizowaniu danych spisu ostatniego, dotyczących stosunków wyznaniowych. Warto tu jednocześnie zaznaczyć, że wśród emigrantów ruskich, daleko większa liczba niż wśród wychodźców polskich opuszcza kraj na stałe (przesiedleńcy kanadyjscy i brazylijscy).

W ten sposób i dziś, tak samo jak to było w ciągu wieków, żywioł polski, ponosząc straty na krańcach zachodnich, na korzyść Niemców i Czechów (jak to pokazują dane ostatniego spisu ludności na Śląsku Cieszyńskim), rośnie na wschodzie, po za własnym terenem etnograficznym. A rosnąc liczebnie, przestaje ulegać wynarodowieniu. Nowe pole osadnictwa polskiego już nie tonie w morzu ruskim, jak to bywało dawniej. Przeciwnie, do polskości powraca część tych kolonistów polskich, którzy utracili byli już język polski i zachowali tylko obrządek łaciński. Dzięki pracy „Towarzystwa szkoły ludowej“, organizacji ekonomicznych i politycznych część „łaciników“ odzyskuje świadomość polską i, zasilona nowym dopływem świadomego już narodowościowo żywiołu imigranckiego, przyznaje się do polskości. I temu faktowi należy przypisać znaczną część tego niezwykłego wzrostu ludności polskiej, jaki się zaznaczył na terenie Galicji wschodniej podczas ostatniego spisu ludności.

Leon Wasilewski.

Kooperatywa spożywcza.

Podczas gdy w wielu państwach zachodnio-europejskich kooperatywa spożywcza była już olbrzymią organizacją o szerokich rozgałęzieniach, gdy wciągnęła setki tysięcy ludzi i obok swej życiowej doniosłości stała się dziedziną ważnych zagadnień teoretycznych, — u nas zaledwie pojawiły się pierwsze jej zwiastuny a dopiero w ostatnich latach widzimy jaki taki ruch organizacyjny, który na przyszłość zapowiada się pomyślnie. Możność orjentowania się u nas w tej dziedzinie oraz celową intensywną pracę organizacyjną w znacznej mierze zawdzięczamy głównemu apostołowi kooperatywy naszej, p. Stanisławowi Wojciechowskiemu. Według badań tego niestrudzonego pracownika, w r. 1908 było w Królestwie Polskim 670 stowarzyszeń spożywczych, liczących 90,000 członków i 13 miljonów rubli sprzedaży rocznej. Posiadały one 1,250,000 rb. kapitału zasobowego, 750 sklepów i zatrudniały 1,500 osób. Trzy czwarte tych stowarzyszeń powstało w latach 1906 i 1907.

Kooperatywy polskie mają już stałą organizację sterniczą — Towarzystwo kooperatystów i hurtownię, wreszcie swój organ p. t. *Społem*, bardzo czujny, ruchliwy, pod względem redakcyjnym stojący na poziomie wydawnictw europejskich.

Wobec tego idea kooperatyzmu powinna u nas płynąć coraz szerszym łożyskiem a literatura popularna i naukowa rosnąć z dniem każdym. Dotąd jednak ruch ten jest względnie bardzo słaby; mamy zaledwie kilka książek i trochę broszur. W ostatnich czasach literatura ta wzbogaciła się cenną pracą Jerzego Kurnatowskiego.[1]

[1] Jerzy Kurnatowski: „Kooperatywa spożywcza — praktyka i teorja“. Warszawa, 1912. Gebethner i Wolff. (Str. 214).

Obok dokładnego obrazu kooperatywy spożywczej na zachodzie Europy, praca ta odznacza się świetnym wykładem, w dziale teoretycznym, tak iż książka, ze względu na dobro ruchu współdzielczego u nas, zasługuje na jaknajszersze rozpowszechnienie. Przedewszystkim należy zapoznać ogół z istotą kooperatywy, z jej głównymi zasadami, których uprzytomnienie powinno być bodaj najlepszą, najskuteczniejszą propagandą tej idei, czyniącej na kuli ziemskiej coraz większe podboje.

Usunięcie samodzielnego kupca — pośrednika pomiędzy spożywcą a wytwórcą — przez zastąpienie go kupcem-najemnikiem spożywców, — oto pierwsza zasada organiczna kooperatywy spożywczej, przekazana jej jeszcze przez przed-kooperatywny związek spożywców. Spożywca przez zrzeszenie się *oszczędza* sobie zbytecznego wydatku na opłacanie pośredników.

Aby interes każdego spożywcy nigdy nie był poświęcany na ołtarzu interesów jakiejkolwiek drobnej grupy, kooperatywa spożywcza wprowadza drugą swoją naczelną zasadę *nieograniczonego przyjmowania nowych członków*. „Z tej zasady wynika względne potępienie wszelkiego rodzaju kooperatyw zamkniętych, t. j. takich, które przyjmują tylko ludzi jednego wyznania, jednej rasy, jednakowych poglądów politycznych i t. p. Kooperatywa spożywcza jest organizacją spożywców, a ponieważ każdy jest spożywcą, więc każdy w każdej chwili powinien mieć do niej wolny wstęp na tych samych prawach, co członkowie założyciele".

Kooperatywa może w swoim sklepie sprzedawać towar „po cenie kosztu", t. j. pobierać za towar tę cenę, jaką sama płaci hurtownikowi z niewielką nadwyżką na koszty lokalu, przewozu, administracji. Czynią tak niektóre kooperatywy włoskie, złożone z członków ubogich. Ale kooperatywa, która ma na celu swoją przyszłość, stały rozwój, nie powinna się rządzić taką zasadą, bo jest ona zabójczą. Powinna sprzedawać po zwykłych cenach handlowych, panujących w danej miejscowości w handlu detalicznym. Jest to trzecia organiczna zasada kooperatywy spożywczej.

W odróżnieniu od handlu detalicznego sklep współdzielczy kieruje się *uczciwością kupiecką*, t. j. nigdy nie daje sfałszowanego towaru lub złej miary i wagi — i to jest czwarta zasada organiczna kooperatywy.

Zwykle pomyślnie prowadzony sklep spożywczy daje zysku od włożonego kapitału 20 — 30 proc. Zysk ten zabierają ci, którzy najwięcej się przyczynili do rozwoju kooperatywy, t. j. udziałowcy, którzy zarazem kupowali w sklepie. Kapitał, potrzebny na założenie sklepu współdzielczego jest niewielki i nie odgrywa roli najważniejszej. Główną podstawą jest klijentela — dokonywanie zakupów w kooperatywie, przez co kapitał obraca się kilka razy do roku. To też zysk, obliczony w końcu roku, dzieli się pomiędzy udziałowców sklepu nie w stosunku do włożonych udziałów, ale *w stosunku do poczynionych przez każdego zakupów*. Jest to piąta, najważniejsza zasada organiczna kooperatywy spożywczej, która wprowadza zupełnie nowy czynnik do stosunków ekonomicznych. Ponieważ sklep opiera swój byt nie na udziałach, lecz na zakupach, a więc członek jest figurą najważniejszą. To też bez względu na ilość wniesionych udziałów *jeden członek ma tylko jeden głos*. Ta zasada szósta jest podstawą polityczną organizacji kooperatywy. Trudno jednak żądać, ażeby ktoś wkładał pieniądze w przedsiębiorstwo nie licząc na pewien procent od swej sumy. Dlatego też kooperatywa wypłaca od udziałów odsetki według przeciętnej normy, panującej w danym kraju (5 do 6 proc.) Udziały tedy dają prawo do procentu, a zyski dzielą się w stosunku do zakupów.

Wobec takiej zasady powstaje kwestja sporna, czy klientelę przygodną, z ulicy, dopuszczać do sklepu a zarazem do udziału w zyskach od zakupów. P. Kurnatowski utrzymuje, że obliczanie zwrotów w stosunku do poczynionych zakupów ludziom przelotnie odwiedzającym sklep jest tech. icznie niemożliwe. Otóż autor myli się pod tym względem, gdyż w wielu sklepach niewspółdzielczych istnieje zwyczaj zwrotów, a kontrolą sum zapłaconych przez klijenta za towary są kartki z oznaczeniem cyfry, wydawane za każdym razem. Chodzi tu jednak o inną zasadę. Klijentela przygodna powinna mieć otwarty wstęp do sklepów współdzielczych, ale bez otrzymywania zwrotów, które powinny być przywilejem tylko członków. Wolny zaś wstęp dla wszystkich jest podwójnie korzystny dla kooperatywy. Zwiększa obrót i jednocześnie jest środkiem zachęcającym przygodnych klijentów do zapisywania się na członków. Jest to tak jasne, że chyba nie powinno być kwestji spornej co do ustalenia w tym wypadku zasady. A jednak wiele kooperatyw niema pod tym względem ustalonej opinji.

Dla wzrostu środków kooperatywy i jej wszechstronnego rozwoju nie wystarcza zasada sprzedawania przedmiotów po cenach, panujących w handlu detalicznym. Konieczna jest jeszcze bardzo ważna zasada zatrzymywania części zysków czystych na cele tego rozwoju. Taka też zasada panuje wszędzie, gdzie kooperatywy utrwaliły się, wciągnęły masy spożywców i stanęły na wysokim poziomie.

Prof. K. Gide wypowiada w tej kwestji zdanie następujące: „Kooperatywa spożywcza zawdzięcza swoje powodzenie temu, że cele jej są bardzo różnorodne: można od niej żądać czego się chce. Daje się ona nagiąć z cudowną łatwością do każdego celu społecznego, a nawet do celów całkiem sprzecznych i dlatego może być używaną przez wszystkie stronnictwa. Cele te bywają nietylko różne, lecz i wzajemnie wykluczające się tak, że trzeba wybierać pomiędzy nimi. Można żądać od kooperatywy spożywczej bądź taniości, bądź dodatku do dochodu, bądź osobistej oszczędności, bądź środka do utworzenia zbiorowej, niepodzielnej własności społecznej; lecz jest rzeczą jasną, że nie można od niej żądać wszystkiego naraz i że nawet jest niedogodne łączyć ze sobą choćby tylko dwa cele. Dla tego to widzimy, że kooperatywę propagują kolejno w celach bardzo różnych to zachowawcy, to rewolucjoniści, to burżuazja, to robotnicy, mieszczanie lub wieśniacy, kolektywiści lub anarchiści, protestanci lub katolicy".

P. Kurnatowski, uczeń Gide'a, z tych wszystkich celów, nie bez racji wybiera ten, który ustaliły ostatnie kongresy kooperatywne i który bierze górę nad innymi: *utworzenie zbiorowej niepodzielnej własności społecznej*. Stowarzyszenie może wkraczać w dziedzinę rzemiosł i przemysłu drobnego, zakładać piekarnie, pracownie krawieckie, szewckie, młyny i t. d. Tego rodzaju rozszerzanie przedsiębiorstwa jest o tyle tylko możliwe, o ile część czystego zysku z poprzednich przedsiębiorstw przelewa się na kapitał zapasowy. To też słusznie autor żąda, ażeby lwia

część czystego zysku była przeznaczona na rozszerzanie przedsiębiorstwa kooperatywnego.

Kooperatywa wymaga najemników, którzy jednak powinni w niej zajmować inne stanowisko, niż w przedsiębiorstwach zwyczajnych. Najemnik kooperatywy jest zarazem spożywcą i jako taki, staje się częściowo i pośrednio swoim własnym pracodawcą. „Przez kooperatywę spożywczą najemnik-spożywca wyciąga bratnią dłoń ku sobie samemu, jako wytwórcy i podnosi się na wyższy szczebel samodzielności i rozwoju ekonomicznego". „Niezależnie od tego najemnik kooperatywy spożywczej nie może i nie powinien zrywać tych więzów, które go łączą z innymi najemnikami, jako wytwórcami; inaczej powiedziawszy, powinien należeć do związku zawodowego swojego zawodu".

Pracownicy kooperatywy są lepiej płatni niż gdzieindziej (nie licząc zwrotu od zakupów). Mieszkają w czystych, widnych, zdrowotnie urządzonych domach kooperatywy, pracują krócej niż w przedsiębiorstwach prywatnych. Oto droga, która powinna iść kooperatywa spożywcza. Obowiązkiem jej jest być wzorowym pracodawcą, który płaci swoim najemnikom możliwie największe pensje za możliwie najkrótszy czas pracy, dając możliwie najlepsze warunki zdrowotne w lokalu, gdzie się odbywa praca, jak niemniej w mieszkaniu prywatnym.

Ważnym celem powinno być także szerzenie oświaty kooperatywnej, na co również należy przeznaczać część czystego zysku. Niektórzy pracownicy kooperatywy, jak np. subjekci handlowi, powinni otrzymywać specjalne wykształcenie.

Takie są zasadnicze cele kooperatywy. Wszystkie one muszą być oparte na podstawowym warunku trwałości i powodzenia: na bezpartyjności. Tego żąda dzisiaj znaczna większość zwolenników i wyznawców ruchu kooperatywnego. W tym duchu wypowiadali się oni w ostatnich czasach na kongresach międzynarodowych. W życiu jednak dotąd nie wszędzie ten podstawowy warunek dał się urzeczywistnić. *)

Zenon Pietkiewicz.

Moda.

Szkic społeczno polityczny.

6)

(Ciąg dalszy).

Ale jak z powyższego już widać jest to dążenie niższych do równości z wyższymi, a nie odwrotnie. Dążenie to posiada w sobie potęgę niemal siły żywiołowej.

Człowiek, aby zachować zewnętrzne oznaki swego stanowiska, aby utrzymać się na odpowiedniej stopie życiowej, gotów jest nieraz poświęcić swe najniezbędniejsze potrzeby. Jest to według wyrażenia F. A. Langego cecha zasadnicza charakteru ludzkiego, wywierająca głęboki wpływ na wszystkie stosunki życiowe.

„Emigranci z czasów Rewolucji francuskiej, często potomkowie najwyższej szlachty, woleli nieraz cierpieć istotny głód, niż ująć drobnostkę jaką z swej wykwitnej toalety, i nieraz oddawano na trynkgeld ostatniego talara, który przydałby się właścicielowi na kolację. Ten sam rys znajdziemy i dziś u podupadłej szlachty, a klepsko płatny, ale wysoko utytułowany urzędnik, który zmuszony jest do stosunków z ludźmi, gotów poświęcić wszystko dla pozorów" [3])

Ale co jest właściwą stopą życiową człowieka, dla jakich pozorów gotów on jest do tylu poświęceń?

Oczywiście, że tak jak zawsze i wszędzie, tak i w oznakach swej zamożności i stanowiska, człowiek dąży na najwyższy stopień dla siebie dostępny, chciałby więc upodobnić się nietylko do równych, ale i wyższych od siebie. Do tego dążą nietylko jednostki, ale i całe warstwy. „Panowie, powiada Taine, [4]) naśladują monarchę".

„Jak kolosalny posąg z drogiego marmuru wzniesiony w środku Francji, w kopiach zmniejszonych rozchodzi się tysiącami na prowincję, tak życie królewskie odzwierciadla się w mniejszych rozmiarach nawet w dworach szlacheckich, najbardziej od niego oddalonych".

Każdy naśladuje bezpośrednio wyższego i w ten sposób wzory najwyższe, po przez wszystkie stopnie hierarchji społecznej, przechodzą do warstw najniższych.

Tak było i tak jest dzisiaj. Zmieniać się mogą osoby, czy warstwy, stanowiące przedmiot naśladownictwa, ale jak słusznie mówi Tarde, [5]) bez względu na organizację społeczeństwa teokratyczną, arystokratyczną, czy demokratyczną, naśladownictwo idzie zawsze z dołu do góry.

Świadczy o tem okoliczność, że moda jest zawsze jedna, nie w tym jednak znaczeniu, że tworzy ona jeden dla wszystkich, jakby identyczny mundur. Przeciwnie, każdy sezon przynosi liczne odmiany i wzory strojów. Jedność mody polega na tem, że te wszystkie wzory i odmiany istnieją tylko, jako strój sfer zamożnych, gdy niezamożne tylko te wzory naśladować muszą i rzeczywiście naśladują.

Bywały w historji wypadki wpływów odwrotnych, na tych mianowicie przełomach postępu, kiedy ostatecznie zwyciężały kierunki demokratyczne, znajdując odbicie w oznakach zewnętrznych.

Tak było np. w pierwszej połowie 16 wieku, kiedy wszedł w modę strój *Landsknecht'ów*, odpowiadający, według Quinckego, [6]) temu silnemu powiewowi wolności który przenikał owe czasy.

Tak było w epoce Rewolucji francuskiej, kiedy dawny strój arystokracji, jedwabie, koronki i żaboty, ustąpił miejsca strojom kwakierskim, odpowiedniejszym dla przedstawicieli ludu i bojowników o jego wolność i równość. Zwycięstwo Rewolucji było zwycięstwem jej mody. Jak jej zasady społeczne i polityczne z pewnemi zmianami dotychczas jeszcze są podstawą naszego życia publicznego, tak i strój przez nią wprowadzony z pewnymi zmianami dotychczas jest w użyciu.

Ale wypadki te nie przeczą zasadzie, a raczej przeczą jej tylko pozornie.

Naśladownictwo warstw niższych, nawet przez wyższe, ma miejsce wtedy tylko, kiedy te niższe warstwy dochodzą do władzy, do przewa-

*) Do książki p. [illegible] przy sposobności jeszcze wrócimy, mówiąc o międzynarodowym związku kooperatyw.

[3]) Fr. A. Lange: „Kwestja ekonomiczna w dziedzinie społecznej", tłumacz. polski. Warszawa 190[illegible], str. 1[illegible].
[4]) Taine l. c.
[5]) Tarde l. c.
[6]) Quincke l. c. str. [illegible].

gi, kiedy one właśnie stają się żywiołem naczelnym, a więc warstwą wyższą społeczeństwa. Te wypadki pozornie przeciwne zasadzie naśladownictwa, stwierdzają ją zatem i tym razem.[1])

Czy zjawisko to, które moda ze szczególną ujawnia plastyką jest cechą zasadniczą charakteru ludzkiego, jak chce Lange, czy zasadniczem prawem natury i społeczeństwa, jak chce Tarde, prowadzi nas ono do niezmiernie doniosłych wniosków, których na tem miejscu pominąć nie możemy.

Moda, jak widzieliśmy, jest wyrazem dążeń i prądów, panujących u szczytów społecznych; na usługi jej biegnie wszystko, co myśl ludzka, sztuka i przemysł w danej chwili posiadają najlepszego.

To, co tworzy moda dla wyższych pokładów społecznych, staje się wzorem dla wszystkich, co stoją niżej; jest to wzór jedyny, w który całe społeczeństwo ma wzrok utkwiony. Nie wszyscy dosięgają tego szczytu, ale wszyscy nań się wspinają. Czy to nie prowadzi do wniosku, że jest tylko jedno ognisko, z którego płynie światło na całe społeczeństwo, a jest niem to, co jest najwyższe, najdoskonalsze i najpiękniejsze.

A jeżeli przejdziemy od stroju do innych dziedzin życia, czy w sztuce, nauce, etyce wzorem nie są również najwięksi artyści, najgłębsi myśliciele, najcnotliwsi działacze? Czy tutaj niżsi nie naśladują wyższych, składając tem hołd ich wyższości? Czy można przypuścić, że ludzkość wyrzeknie się kiedykolwiek swych najwspanialszych zdobyczy jakiegokolwiek rodzaju?

Nieprawdziwym jest ten analfabeta Wiktora Hugo, który niszczy bibliotekę, bo nie umie czytać.

W najciemniejszych masach istnieje cześć dla myśli, największy łotr podszywa się pod pozory cnoty, a sztuka oświetla swym blaskiem zarówno dusze podniosłe, jak i poziome.

Jak w dziedzinie stroju wszyscy dążą do tego, aby się zrównać w najwyższej jego postaci, tak i w dziedzinie ducha istnieje popęd do osiągnięcia równości na najwyższych jego szczytach.

W tem, zdaje się, tkwi cała trudność jej problematu.

Jakże łatwą byłaby ona, gdyby można było pchnąć ludzi do naśladownictwa niższych, jakże łatwo byłoby stworzyć równość, na zniżonym poziomie wszystkich potrzeb życiowych.

Ale nie na to ludzkość pracowała kilkadziesiąt wieków, aby się wyrzec całego swego dorobku.

Do przypuszczenia takiego nie upoważnia nas ani historja, ani teoretyczne rozumowanie.

Proletarjacka nauka, proletarjacka sztuka zawierają w sobie taką samą sprzeczność wewnętrzną, jakąby zawierała proletarjacka moda.

I myśl, i życie otrzymują swój kierunek od tych szczytów, na których rodzi się cywilizacja i kultura, a nigdy z dołu.

Jest to nader cenna wskazówka, którą daje nam badanie mody, cenna, szczególniej dla nas, poczynając bowiem od końca XVIII stulecia, od ludu, dawniej wiejskiego, a dziś i miejskiego, oczekuje się ciągle jakichś cudownych, zbawczych czynów, z rozwojem ludu wiąże się nadzieja jakiegoś nowego programu, który ma dzieje nasze pchnąć na nowe, a nareszcie, właściwe tory.

[1]) Tymbardziej, że grunt do przewrotów demokratycznych przygotowują te warstwy wyższe, które potym same padają ich ofiarą.

Tkwi w tem jednak wielkie nieporozumienie.

Rola ludu polityczna i społeczna jest raczej bierna, niż czynna. Lud ciemny i biedny dąży przedewszystkiem do swoich celów kulturalnych i ekonomicznych; nie ma on niczego do dania warstwom bogatym i oświeconym.

Nie od niego pochodzą naczelne hasła narodowe i kierunek woli zbiorowej.

Z oświatą i dobrobytem ludu powiększa się ilość uświadomionych obywateli kraju, wzmagają siły narodu, ale lud nie wytyka mu żadnych dróg nowych.

Wśród warstw wyższych właśnie, poczucie potrzeby uświadomienia ludu, poparcie jego interesów, prowadzi aż do podporządkowania im interesu narodowego wogóle, a zabarwia sobą kierunki demokratyczne.

Lud, jak wszystko inne, tak i kierunek i drogi własnego rozwoju, otrzymuje z rąk warstw wyższych.

One dają mu wzory stroju i kultury materjalnej i obyczajowej, dają mu oświatę i wiedzę, zasady moralne i zasady polityczne.

Błędnem byłoby mniemanie, że lud stoi zawsze na stanowisku ludowym, a więc demokratycznym. Gdyby tak było, w jaki sposób trwać by mógł tak długi okres poddaństwa i wyzysku?

Według słusznego wyrażenia jednego z ekonomistów „nie same tylko warstwy panujące uważają swe uprzywilejowane stanowisko za najzupełniej sprawiedliwe (t. j. zgodne z moralnemi pojęciami o prawie i sprawiedliwości); takiem jest zawsze zdanie ogółu; w przeciwnym bowiem razie żadne prawo, żadna policja nie byłaby w stanie utrzymać istniejącego porządku rzeczy".

Lud jest arystokratyczny w epoce rozkwitu arystokracji; nabiera świadomości swego bezprawnego położenia, kiedy warstwy wyższe, inteligentne, w poczuciu szkody, którą ono wyrządza krajowi, wskaże ludowi krzywdę, która mu się dzieje. Kiedy wreszcie zmiana warunków ekonomicznych nie może się już pogodzić z dotychczasowym położeniem warunków pracujących lud demokratyzuje się dopiero razem z inteligencją, z warstwami wyższymi i pod ich wpływem.

Arystokracja, według Tarde'a przygotowała grunt dla równości w interesie burżuazji.

Burżuazja stworzyła podwaliny socjalizmu, który powodzenie swe zawdzięcza i zawdzięczać będzie temu właśnie, że duch jego panuje wśród warstw obecnie przodujących.

Lud nigdy nie nadawał i nadawać nie będzie kierunku życiu politycznemu i narodowemu i nic nie usprawiedliwia wiązania z nim jakichkolwiek pod tym względem nadziei.

Do tego wniosku, szczególniej dla nas ważnego, doprowadza badanie mody; wskazuje ono ściśle znaczenie ludu w życiu politycznym narodu a zarazem wykreśla dalszy kierunek jego rozwoju.

Naśladownictwo wyższych prowadzi lud na coraz wyższe stopnie cywilizacji i prowadzić je będzie dopóty, dopóki na tych najwyższych stopniach nie znikną różnice pomiędzy wyższymi i niższymi. Naśladownictwo zaś wyższych to właśnie moda, która w ten sposób przyczynia się do przeobrażenia społeczeństw typu arystokratycznego w typ demokratyczny, gdy zwyczaj przeciwnie, utrwala historycznie wytworzoną nierówność społeczną...

(C. d. n.). *Józef Lange.*

BADANIA NAUKOWE.

Z powodu książki Radlińskiego.[1]

W świeżo wydanej książce zebrał autor w jedną całość kilka swych prac naukowych, z których dwie drukowane w *Prawdzie*, znane są naszym czytelnikom. Historyk religji wschodnich i judaistycznych początków chrystjanizmu z niemniejszą bacznością śledzi najnowsze okresy ewolucji Kościoła, jak jego zamierzchłe początki. Nie mieliśmy dotychczas jeszcze dokładnych i obszernych wyjaśnień nowego reformatorskiego kierunku w katolicyzmie, któremu Encyklika Piusa X-go zapewniła rozgłos wszechświatowy, potępiając go pod mianem „modernizmu". Nazwy tej nie nadał on sam sobie, lecz otrzymał ją od swych przeciwników. W naszym kraju niema on przedstawicieli. Zdaje się, iż przyczyna leży w powszechnej obojętności religijnej, w naszej rzekomo katolickiej inteligencji i u znacznej części duchowieństwa, oraz w zupełnym nieuctwie teologicznym reszty. Niema miejsca na modernizm tam, gdzie większość księży kończy swe wykształcenie na czterech klasach szkoły średniej, a potym otrzymuje nie naukowe, lecz zawodowe przygotowanie w seminarjach. W jednym z zeszytów *Myśl Niepodległa* w artykule „Inteligencja a religja" wypowiedziała bardzo wiele trafnych uwag o indyferentyzmie religijnym naszej inteligencji, które streszcza w twierdzeniu, że jest ona najmniej religijną ze wszystkich europejskich i amerykańskich. Ponieważ dogmaty i filozoficzno-teologiczne wywody są jej zupełnie obojętne a nawet nieznane, cała religja polega dla niej na obrzędowości, w czym podtrzymuje ją starannie duchowieństwo, na ogół ciemne i przywiązane do obrzędów, jako do roboty, która chleb daje. Z tego powodu też żadne nowe prądy w katolicyzmie nie znajdują u nas podatnego gruntu, a nawet nie budzą zainteresowania. Schizmy religijne są możliwe chyba wśród ludu a zmiana religji dokonywa się ze względów praktycznych nie mających najczęściej nic wspólnego z wątpliwościami w wierze.

„Wszystko jedno, w co wierzysz, bylebyś praktyki wypełniał, a o śluby i pogrzeby się nie targował" — takie jest hasło naszego duchowieństwa...

„Doszło do tego, pisze *Myśl Niepodległa*, iż uchodziło za nieprzyzwoitość towarzyską a nawet za objaw niedorozwoju dyskutować na tematy religijne. Wszak względnie niedawno Bolesław Prus pisał, iż takimi rzeczami zajmują się tylko piątoklasiści". Istotnie, dyskusja szczera między tak zwaną prawowierną a tak zwaną bezwyznaniową inteligencją zaczyna się zawsze od tego, że mniemani prawowierni wyznają swój absolutny brak wiary, a domagają się jedynie popierania Kościoła jako instytucji tradycyjnej potężnej — „alliante et amie" narodowości. Bezwyznaniowcy zaś podają w wątpliwość wartość tego sprzymierzeńca a nawet dowodzą jego ujemnego wpływu na kulturalny i polityczny rozwój narodu. Innych sporów właściwie niema. Stąd to nie mamy pośród siebie ani jednego księdza Loisy, zmierzającego do uzgodnienia katolicyzmu z wiedzą nowoczesną, ani też publiczności, któraby prelekcje w rodzaju wygłaszanych przez niego porywać i przejmować mogły. Dziedzina wiedzy jest dla naszego duchowieństwa na ogół obcą, dziedzinę wiary traktuje ono bardzo powierzchownie, dla złotych mostów braknie tedy najważniejszego warunku — obu brzegów.

Tymi wszystkimi okolicznościami tłómaczy się także uderzająca obojętność czytelników polskich dla naukowej i pisarskiej działalności Ig. Radlińskiego. Początki chrześciaństwa nie więcej budzą w nich zaciekawienia niż współczesne chrześciaństwo. „Dzieje jednego Boga", „Dzieje jednego z synów bożych" oraz cały szereg równie cennych i poważnych prac naukowych zaledwie w nielicznych znajdują się rękach. Poparcia naukowych instytucji autor nie doznaje, gdyż i one polityką z duchowieństwem, szersza publiczność zaś nie popierałaby ich, nawet gdyby one stały ściśle na gruncie katolickim, gdyż kwestje religijne ją nudzą. Prawdę mówiąc, jest rzeczą wątpliwą, czy umiałaby w tej dziedzinie rzeczy prawowierne od nieprawowiernych odróżnić.

Miejmy nadzieję, że ostatnia książka prof. Radlińskiego będzie wyjątkiem. „Modernizm" jest aktualnością; Watykan wypowiadając mu walkę postawił go na porządku dziennym tam nawet, gdzie nic o nim nie wiedziano. Widzieliśmy jak w sporach między naszymi pismami klerykalnymi padały z jednej i drugiej strony zarzuty modernizmu, choć, jako żywo, żaden z redaktorów tego obozu badaniem Ksiąg Świętych ani też wogóle żadnym innym się nie zajmował. Punktem wyjścia modernistów jest chęć wlania nowego życia w skamieniałą budowę, pobudką — przywiązanie do katolicyzmu i wiara w jego żywotność. Stolica Apostolska pociskami, wymierzonymi przeciw modernizmowi burzy tę wiarę, otwierając tym szersze drogi dla wolnej myśli.

Taką jest myśl przewodnia książki Radlińskiego.

J. Tarczewski.

[1] Ignacy Radliński. „Katolicyzm, Modernizm, Myśl Wolna" Warszawa, 1912. Skład główny w księgarni G. Centnerszwera i S-ki.

POEZJA.

Z cyklu „Drogi".

Czy wiesz, co znaczy w chwili, gdy ziemia na siebie
Zarzuca płaszcz z ciemnego nocy aksamitu,
Śnić o jakiejś bezdennej otchłani niebytu,
Która duszy bezdenne otchłanie pogrzebie?

Czy wiesz, co znaczy w chwili, gdy zorza kolebie
Na pierwszych swych promieniach uśmiechy błękitu,
Śnić o jakiejś bezdennej otchłani niebytu,
Która duszy bezdenne otchłanie pogrzebie?

Czy wiesz, co znaczy w chwili, gdy południe w niebie
Rozpala wszystkie blaski życia i zachwytu,
Śnie o jakiejś bezdennej otchłani niebytu,
Która duszy bezdenne otchłanie pogrzebie?...

* * *

Wykuj miecz w ogniu myśli, a myśl w chłodzie stali.
Jeżeli sny o boju duszę Twą zbudziły,
I w groźnej chwili serce złóż na walki szałı —
Zwyciężysz: przeciw takiej sile niema siły!

Zwycięztwu wgryź się w oczy, by wyczytać cele,
Które ono tym sławia, co je rozumieją:
Obszar pól, zatopionych w pożarów popiele,
Zaoraj świętą wiarą i zasiej nadzieją.

Lecz na plony nie czekaj: ażeby dojrzało
Ziarno, rzucone w ziemię, która bój pamięta,
Jednego życia — choćby długiego — zbyt mało...
Śnij szczęście, że przez wnuki niwa będzie zżęta.

* * *

Czym jest życie? — Nie pytaj: nikt ci nie odpowie!
— Są prawdy, które próżno chcesz usłyszeć w słowie —
Są słowa, których święta niepojętość broni.
Treść ich znajdzie ten tylko, kto sam dotrze do niej.

Jaką drogą? — Nie pytaj: nikt ci nie odpowie!
— Są prawdy, które próżno chcesz usłyszeć w słowie —
Jest droga, której święte zarzucenie broni.
Pójść nią może ten tylko, kto sam dotrze do niej.

Kiedyż wreszcie? — Nie pytaj: nikt ci nie odpowie.
— Są prawdy, które próżno chcesz usłyszeć w słowie —
Jest siła, której święta wytrzymałość broni:
Jej się spytaj — odpowie... jeśli dotrzesz do niej!

MARJA PRZEDBORSKA.

KRYTYKA.

Stylizm współczesny i jego przyczyny na Zachodzie

(Ciąg dalszy).

Silny pod tym względem impuls dało szerokim kołom artystów i publiczności zjawienie się nieznanych do ówczas prerafaelitów angielskich oraz po części pokrewnego im Boecklina, którzy są wyraźnymi stylistami, malując w stylu mistrzów staroflorenckich z przed czasów Rafaela.

Już dawniej pseudoklasycyzm przedromantyczny Dawida, następnie później Ingresa był kierunkiem stylu. Manachjum swój styl zawdzięcza przeważnie realistom weneckim i holendrom. Hans Maree sięgnął do Tintoretta i Signorelli'ego (obecnie modny), Gustave Moreau do starogreccczyzny i stylów Persji oraz Indji, biorąc nie ich tematy lecz ich style. Rubens, Velasquez, Rembrandt, Tycyan etc. dostarczali swoich stylów rozmaitym indywidualnościom takim jak Whistler, Watts, Manet. Były to często bardzo silne, ale pojedyńcze wypadki.

Dopiero secesjonizm, który wyszedłszy z Anglji, rozwinięty i spopularyzowany szybko przez Austrję, Monachjum, Berlin, wchodzący niechętnie dopiero teraz do Francji, wprowadził swój styl nowy, wykoncypowany specyalnie i rozwinięty w swoistą linję czysto stylową. Rozpoczął on epokę *stylizmu* w znaczeniu ściślejszym, wytwarzając ruch masowy, zasługujący na nazwę kierunku dominującego, charakteryzującego nastrój ludzi i czasów.

I odtąd poczynają w twórczości bierzącej zjawiać się style najrozmaitszego rodzaju, tworzone specyjalnie nowe.

Poczynają masowo naśladować lub tworzyć w najrozmaitszych stylach ogólnych i indywidualnych, naśladując wszystko, co w tym kierunku wydała przeszłość lub wydaje obecnie teraźniejszość egzotyczna.

I pojawiają się dzieła, tworzone w stylach greckich, z epoki mykeńskiej, z okresu Praksytelesa, lub z epoki stylów małoazjatyckich, z czasów przedfidyaszowych, bądź w stylu assyryjskim, chaldejskim, staromeksykańskim, perskim, japońskim, gotyckim. Zjawiają się neo-bizantyjczycy, neo-egipcjanie, hindusi, tworzący w stylu Fra-Angelica, Fouqué, Praksytelesa, Hokusaja, Giorgiona, w stylu nieznanych malarzy lub rzeźbiarzy gotyku. Wznawiają ci barok, tamci cesarstwo, inni staro islandzkie plecionki, podejmuje się nawet takie style niedawne, jak Ingresa, Delacroix, stwarza się neoromantyzm a nawet tak niedawno miniony neorealizm. Sięgają do stylu ludów murzyńskich lub malajskich, krajów w Congo lub na Haiti. Idą dalej. Poczynają brać style klasowe — style ludowe, robotnicze. Dalej styl utworów dzieci, naiwnych, paralityków i niedołęgów, starając się naśladować ich widzenia, ich sposób ujmowania rzeczy, ich linje niepewne, ich charakterystyczne błędy, naiwność perspektywy, rysunku, koloru, pojęcia rzeczy, nawet ich brak talentu lub wyrobienia np. (Sezanne). Wszędzie główny nacisk kładzie się na to, nie *co* jest wykonane, tylko *jak*, wszędzie mniej lub więcej formę tematu, czy to w kształcie, czy w kolorze, czy nastroju etc. przerabia się, urabia, nagina do założeń czysto stylistycznych t. j. do samej gry linji, barw, techniki, materjału, farb etc., ich piękności, ekspresji, nastroju, charakteru. Każdy styl rzecz prostą, ma swój specyjalny ton, wyraz, swoją treść, niekiedy sięgającą bardzo głęboko czy w sferę zmysłowych odczuwań, czy intuicji, uczuć a nawet myśli. Dość przytoczyć różnicę np. starogipskiego stylu i rokoka.

Stylizm, w ten sposób pojęty, jest do dziś kierunkiem panującym, który na brukach Paryża i Berlina rozwija się gorączkowo, niby w walce rywalizacyjnej dwóch narodów, w której pierwszy

ma nadzwyczajną łatwość tworzenia formy a drugi jej erudycję.

Najostatniejszym wyrazem a zarazem może i krańcowym punktem stylizacji i stylizmu był *kubizm*, który do tego stopnia neguje wszelkie elementy tematu, wszelką formę treści na korzyść przyjętego stylu, że nawet rysując kulę, stara się wystylizować ją w formę figury prostokątnej, uczynić z niej kształt kubiczny. W takich razach każdy kształt może być wyrażony w formach dowolnych, w linjach, plamach, kolorach ect., nie mających nic wspólnego z linjami, plamami, kolorem etc., obranego tematu (nawet portretu). Jest to ostateczne zaprzeczenie wszelkiego realizmu, powiedziane jeszcze silniej, aniżeli wypowiedział to dotychczas jakikolwiek bądź inny kierunek w sztuce.

Wartość, istota takiego utworu sprowadza się do *czystego stylu* — czystego ornamentu, w danym razie kubicznego.

Jak wszędzie, tak i tu, talent i wartość i osobiste artysty decydują (pomimo wszystkich teorji). Skutkiem tego obrazy kubistyczne Picasso, są dobre, chociaż jest on najmniej kubistą i zarazem najbardziej, co zupełnie nic nie pomaga jego uczniom i naśladowcom.

* * *

Drugim czynnikiem, oprócz zbiorów i muzeów, który współdziałał w rozwinięciu się stylizmu współczesnego była *demokratyzacja* najszerszych mas społeczeństw dzisiejszych, wyzwolenie się trzeciego stanu, następnie klasy pracy, wreszcie wiejskiego ludu, wprowadzające nagle do cywilizacji i życia całą mnogość nie tylko typów odrębnych antropologicznie, nie tylko różniących się nawykami, przeżytkami, formami tych klas, z których się rekrutowały, ale przedstawiających całą dzisiejszą pstrokatą różnorodność indywiduów, obdarzonych najrozmaitszymi zlepkami cech zdrowia i patologicznych.

Tak, jak archeologja i kolekcjonizm wydobyły z gruzów, z cmentarzy, zakątków i zakamarków całe masy utworów złej i dobrej sztuki, całą mnogość dzieł geniuszu rozmaitych typów, stylu, tak samo nowoczesne ruchy wyzwoleńcze wydobyły z owej szerokiej warstwy, która do wielkiej Rewolucji była prawie niczym, całe masy najróżniejszych, nowych typów ludzkich, najrozmaiciej ukształtowanych.

Ci ludzie wprost nie mogli być jednakowi nawet, gdyby chcieli. Zdeklasowany szlachcic lub arystokrata, syn chłopa, który skończył uniwersytet, mieszkaniec małego miasteczka, który znalazł się jako robotnik w wielkim mieście, uczony, wychowaniec bruku na stanowisku wpływowego dziennikarza etc. etc., znalazłszy się wobec jednego i tego samego tematu nie mogą zachowywać się jednakowo jak wytresowani na jedną modłę dworacy Ludwików.

Indywidualizm, subjektywizm i wreszcie wogóle każdy stylizm był z góry wskazanym dla tych ludzi, którzy albo musieli, albo pragnęli różnić się od siebie formą zewnętrzną, jakością, *stylem* zarówno swej osoby jak i swej twórczości.

Wszystko to przeważnie odbyło się w sztuce, ponieważ na terenie twardej i ostrej walki o chleb i byt, styl, forma są to rzeczy, o których zapewnę mało kto dziś myśli i mało kto może sobie na podobne myślenie pozwolić. Sztuka głównie stała się wyrazem tych dążeń, na nią to one głowie wpłynęły. Cały głód wolności, swobody, równości i tym podobnych demokratycznych i wolnościowych haseł musiał się zaspakajać na niwie twórczości artystycznej z tej prostej przyczyny, że inne niwy okazały się za skaliste. Zjawiło się tam mnóstwo rodzajów, odrębności, manjer, wielka ilość rozmaitego rodzaju stylów indywidualnych i zbiorowych, przestarzałych, starych, odnowionych i zupełnie nowych i twórczość ich, chociaż już w wolniejszym tempie, stanowi po dziś dzień materjał życiowy, którym sztuka żyje.

(d. n.) *F. Jabłczyński.*

Z Teatru.

Warszawska kronika teatralna ma do zanotowania dość rzadki wypadek: gościnne występy p. Poldy Dostalowej artystki „Narodnego Divadla" ze Złotej Pragi, czeszki. P. Dostalowa gra na scenie teatru Letniego tytułową rolę w „Norze" Ibsena i Violę w szekspirowskim „Wieczorze trzech króli". Ponieważ już pisałem w swoim czasie o powyższych sztukach, obecnie wracać do nich nie będę, skonstatuję tylko, że artystka czeska gra te same role, w których występowała p. Irena Solska i gra je bezwzględnie lepiej. Na przewagę składają się przedewszystkim wewnętrzne warunki i głos, następnie olbrzymia skala talentu p. Dostalowej, równie świetnie czującej się w atmosferze komedji, jak w chmurach dramatu. Ma przytym artystka czeska jeden wielki atut, niezmiernie rzadko przytrafiający się aktorkom tragicznym: dużą urodę. Wszystkie swe wyżwymienione zalety p. Dostalowa potrafi wykorzystać najintensywniej, wydobyć z nich najostatniejszą siłę odtwórczości scenicznej. Głos o skali rozległej, przywykły do najtrudniejszych modulacji o nieskazitelnej dykcji; niesłychana wprost mimika, odźwierciadlająca w rysach twarzy, w błysku oka, w ust zgięciu nie tylko sens wyrazu każdego, lecz i myśl, która ten wyraz stworzyła; gest posłuszny chęciom aktorki, linja ciała, bryła postaci modelująca się zgodnie z zamierzeniami; kultura wreszcie artystyczna wielka pozwalająca każdą rolę ująć w koncepcję iście twórczą i aż do dna intencji autora idącą,— wszystko to składa się na konsystencję scenicznego talentu, miary niezwykłej.

Ibsenowska Nora należy do ról niezmiernie trudnych, odskok w poziomie psychiki jaki nadaje autor bohaterce swej sztuki w akcie pierwszym a w trzecim jest tak duży, że tworzy jakby dwie różne postacie. Skutkiem tego częstokroć aktorki grające Norę, zwycięsko opanowawszy akt pierwszy, blėdną w trzecim lub naodwrót, w zależ-

ności od przewagi elementu komedjowego lub dramatycznego tkwiącego w istocie ich talentów. P. Solska np. trafnie ujęła akt pierwszy, a z trzecim uporać się nie była w stanie. P. Dostalowa tworzy w tej mierze niezmiernie szczęśliwy wyjątek.—jej Nora acz epokowo różna, nie przestaje być jedną i tą samą indywidualnością. Stało się to głównie dzięki szczęśliwemu pomysłowi artystki: nieprzedzielania psychicznej organizacji Nory, granicą katastrofy z listem, lecz w Norze-lalce zrazu zlekka a potym coraz widoczniej ukazywania zalążków tych cech, które dominują w Norze-człowieku. W ten sposób artystyczna prawda odskoku psychicznego święciła tryumf w kreacji czeskiej artystki. Jako Viola p. Dostalowa rozłożyła szeroką gamę chłopięco-dziewczęcego wdzięku, przemiłego uroku uśmiechów, kokieterji i sentymentu. Artystka role swe recytowała po czesku. Język ten brzmiący dla nas zdrobniale jakby, w ustach p. Dostalowej z początku widowiska mącił nieprzerwalność wrażenia słuchowego, ale wkrótce nabierał wagi i z polskimi replikami innych grających łączył się w harmonijnie zrozumiały dwugłos, tam nawet gdzie czysto literackie zwroty czyniły go dla nieznających niezrozumiałym, jak naprz. w „Wieczorze trzech króli" Równolegle zaś z dźwiękiem idące podkreślanie wymykającego się sensu przez artystkę za pomocą innych środków aktorskich, wyławiało go w znacznej mierze z toni niezrozumienia; w rezultacie wrażenie pełni ocalało. Eksperyment ten stwierdza pewną hypotezę, która narazie wydaje się paradoksem. A mianowicie: element konwenansu do tego stopnia przesyca sztukę sceniczną, iż, jeżeli by audytorjum składało się z ludzi rozumiejących kilka języków, aktorzy grający mogliby recytować swe role każdy w innym języku bez szkody dla wrażenia jednolitości mowy na słuchaczów.

* * *

Teatr Nowy przy ulicy Królewskiej wystawił we wtorek bieżącego tygodnia krotochwilę w 3-ech aktach Fr. Schoentana p. t. „Lora", wytwór sceniczny w którym typowo germańska *plumpheit*, acz nieco po wiedeńsku rozkołysana, nie może poderwać się wytryskiem humoru ani przez chwilę, wytwór, który po dwóch aktach względnie zabawnej gmatwaniny wlecze za sobą zupełnie zgoła dla konstrukcji zbyteczny, sztucznie klecony ogon aktu trzeciego, wytwór, który właściwie należałoby by zbyć paru wcale niepobłażliwymi ogólnikami, gdyby...... gdyby nasza trupa farsowa tak w swym składzie, jak w kierowniku nie miała ustawicznego, dziwnego, czasem logicznie zupełnie niewytłomaczalnego szczęścia. W danym zaś wypadku Teatr Nowy ma szczęście posiadać w swym personelu p. Honoratę Leszczyńską, i dzięki tej wielkiej artystce świeżo wystawiona anstrjacka nędza nabrała wielkopańskiego tonu i splendoru; truchło ożyło, zapulsowało tętnem życia, ba, nabrało rumieńców świeżości młodzieńczej. Nie Schoentan bo, lecz właściwie p. Leszczyńska *stworzyła* Lorę Polinger, tę zbzikowaną kabotynkę, wścibską, nieznośną Lorę, którą od antypatji ze strony widza jedno tylko ratuje: dobre serce i chęci. Tak stworzonego w całej pełni człowieka, nie typ, nie charakter, lecz *człowieka* właśnie, od dawien dawna nie oglądała scena farsy. Poprzednia kreacja p. Leszczyńskiej w „Szczęściu pod ręką" (o której pisałem niedawno), była znakomitą, — obecna Lora — stoi na szczycie artyzmu. Trudno doprawdy w krótkim sprawozdaniu ująć w należytej mierze całą wagę twórstwa artystki, by zdać sobie z tej arcydzielności sprawę, należy Lorę Polinger zobaczyć na scenie Teatru Nowego, należy widzieć tego „głupiego Augusta" kulis, który się ma za olbrzymi talent aktorski i który sądzi, że bez jego interwencji i pomocy nic naokół obejść się nie może, należy widzieć tę Lorę i jej ustawiczną, natarczywą niedźwiedzią usłużność względem otaczających, jej antypodyczne skoki w usposobieniu wywoływane najbłahszymi pobudkami, — i zobaczyć jak cały kakofoniczny pejzaż tej psychiki ozlaca słońce sentymentu. Tak. To są szczyty twórstwa scenicznego. P. Leszczyńskiej starał się dotrzymywać placu p. Gasiński ciągnąc swą ciężką rolę ciężkiego niemca ku górze prawdopodobieństw artystycznych. rezultat tej pracy w oddzielnych scenach święcił tryumfy. Bardzo dobrym jak zwykle był p. Fertner, miłą, p. Renard i p. Leszczyński.

Kazimierz Wroczyński.

Wrażenia i refleksy.

Juljusz Kaden: **Zawody**

„Zawody" J Kadena są to małe utwory, w których autor opisuje mozół i duszę ludzi prostych, oddanych ciężkim zatrudnieniom. Aby wkroczyć w tę dziedzinę, tak mało jeszcze znaną, niemal egzotyczną jak Chiny, gdzie się mozoli człowiek uciążliwego zawodu — trzeba się wyzbyć wielu nałogów i przywar, właściwych pisarzom dzisiejszym — między innymi — tendencji spotwarzania biedaka czy to w złym zamiarze, czy w dobrym. W złym, kiedy się wystawia jego mozół i nędzę, jako produkt własnej jedynie winy nędzarza, kiedy się dworuje z jego zaniedbania i dzikości lub współczuje z nią po faryzeuszowsku. W dobrym zamiarze, kiedy się roztkliwia nad losami biedaka i przypisuje człowiekowi prostemu i zahartowanemu przedelikacenie i chuchrowatość klas rozpieszczonych i zwątlałych.

Książka Kadena — innego to ducha dzieło. Utwór to człowieka rzetelnego, który wchodzi w ten świat nie po łzę pocieszenia, lecz po twardą prawdę. Jego biedacy to ludzie rzetelni, którzy swój ciężki trud pełnią w milczeniu, z zaciętym, cichym, nieefektownym heroizmem. Pomiędzy nimi a światem „górnym", który się dźwiga na ich barkach, niema niemal związku. Biedacy zostawieni są swemu losowi, lecz się nie skarżą i trwają, nosząc w głębi piersi jakby daleką zorzę tej prawdy, która kiedyś nadejdzie, poczucie tego kłamstwa, które się wylewa codziennie, tego milczenia, którym się pokrywa rzeczy okropne. Autor posiada nieoszacowaną umiejętność widzenia momentów ich pracy, które się składają na godziny mozołu. Zajęcie szewca, praczki, służącej, roznosicielki dzienników i t d. rozkłada on na drobne epizody, z których każdy barwi się, pulsuje i żyje. Otrzymuje się szereg fragmentów polichromicznych, które razem dają obraz życia kipiącego tam, gdzie zazwyczaj oko nieuważne przechodzi nic nie spostrzegając. Tę zdolność *wykrywania życia* posiada Kaden w stopniu wysokim Lecz, aby pokazać to życie, tak różne treścią od życia na innych poziomach społecznych, musiał Kaden stworzyć sobie język odrębny. Jego język to szereg wybuchów, serja min, zapalających się kolejno, łańcuch wytrysków, które wyrzucają płyny gorzkie i żrące Jest to język wielkiej otwartości i nieraz niepospolitej siły wizyjnej (np. obraz zagubienia się emigrantów w labiryncie miast obcych w „Wychodźcy"). Aby oddać atmo-

sferę wysiłku, który się nigdy nie kończy, bezefektownego bohaterstwa, nadziei bardzo odległej, odwagi nieopuszczającej rąk i dźwigającej się codzień bez oklasków — atmosferę surową i posępną, dziedzinę, gdzie otchłań głodu czyha nieustannie i nigdy nie oddala się zbyt daleko — pomieszał Kaden napoje piołunowe i uwarzył z nich coś w rodzaju żrącego eliksiru czarownic, wobec którego każdy inny napój wydaje się zbyt mdły i przesłodzony. Lecz to skondensowanie atmosfery było konieczne, gdyż taką właśnie boleśnie wytężoną jest dusza [illegible].

Owiewa dzieło Kadena powietrze cz[illegible] pracy i surowej miłości do ludzi, miłości, która [illegible] się przekupić pozorem i widzi człowieka pod łachmanami nędzy ostatecznej. Niema w tym świecie afektacji, [illegible]moludzenia się, samoobłudy. Rzeczy ciężkie dokonywane bywają z prostotą z[illegible] zwykłych. Jakże stąd daleko do świata przywilej[illegible].

Naogół książka Kadena jest bardzo pomyślną próbą opuszczenia bawialni mieszczańskich i salonów hrabiowskich (do których to salonów, trzeba to przyznać, mają literaci nasi skłonność niepohamowaną!) i wyprawy po wartości ludzkie do suteren. I podczas gdy artyści polujący po salonach i bawialniach, wychodzą stamtąd, skarżąc się pesymistycznie na posuchę, jałowość, brak cennej zwierzyny, Kaden wyszedł z nizin z rękoma pełnymi rzeczy istotnie ludzkich i czystych.

Cornish J. P.: **Świat zwierząt. Zwierzęta ssące**

Wśród powodzi zalewających corocznie półki księgarskie książek treści najrozmaitszej rzadko ukazuje się u nas (pomijając, naturalnie, odpowiednie podręczniki szkolne, których w pedagogice naszej nie brak) popularne jakieś dzieło przyrodnicze; z prawdziwym więc uznaniem należy witać wszelkie wysiłki nakładcy i autora lub tłó[illegible] przyrodniczych, zwłas[illegible] się w tak pięknej formie, ja[illegible] „Świat Zwierząt" *Cornish'a*. Dzieło to, opracowane przez cały szereg najznakomitszych angielskich znawców ssaków, napisane jest barwnie i zajmująco; poruszając mniej ciekawe dla czytelnika — niespecjalisty szczegóły anatomiczne i porównawcze w najogólniejszych tylko zarysach, omawia obszernie życie i obyczaje zwierząt, co każdy, [illegible]kolwiek wykształcony człowiek znać powinien. Pod względem ukochania natury i poetycznego sposobu pisania książka *Cornish'a* ustępuje epokowemu „Życiu zwierząt" *Brehm'a*, na co zwraca zresztą uwagę również [illegible] prof. Sosnowski w przedmiocie, wskazując [illegible] przyczyna leży zapewne w tym, że omawiane dzieło tworzył cały szereg badaczów. Tym się tłómaczy, dlaczego niektóre rozdziały, jak np. o małpach, lwach i wielorybach pisane są żywo i pięknie, inne — stylem bardziej suchym, jeszcze inne — w formie prawie że opowiadań myśliwskich. Całość mało jednak na tym traci, gdyż wszystkie bezwzględne częś[illegible] dokładną znajomością [illegible].

Tłómaczenie naogół dobre. Szkoda tylko, iż Szan. tłómacz nie umieścił obok polskich nazw zwierząt terminów łacińskich, co ułatwiłoby niejednemu z czytelników oglądanie zbiorów zoologicznych (g[illegible] nazwy są umieszczane zazwyczaj tylko w języku [illegible]) przydałby się również we wstępie króciuchny podział systematyczny ssaków z zoologiczn[illegible] widzenia — są to jednak braki, którym bardzo łatwo [illegible] zaradz[illegible] wątpliwości, że „Świat [illegible] jąc [illegible]e poparcie wśród czytelników naszych.

[illegible]

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

Dotychczas p. R. Dmowski ma już zapewniony głos jednego prawyborcy, oczywiście, jeżeli p. Straszewicz prawyborcą zostanie. Wprawdzie p. Straszewicz dokładnie zdaje sobie sprawę, że z leaderem endecji różnią go temperamenty, upodobania, a nawet... obyczaje polityczne, jednak głosować na niego postanowił ponieważ, jak się wyraża, „niema nic gorszego, nic niezdrowszego, nic niebezpieczniejszego, jak rządzenie Kołem z zewnątrz, zdaleka". Z takich to względów p. Straszewicz woli zaopatrzyć p. Dmowskiego w mandat i mieć go na oku, niż nie dać mu mandatu i czytywać jego artykuły w *Gazecie Warszawskiej*. Przyznać należy, że chęć uczynienia p. Dmowskiego jaknajmniej szkodliwym, jest wcale patrjotycznie pomyślana, chociaż prawdopodobnie żaden jeszcze poseł nie zawdzięczał swej godności takim względom...

W każdym razie zdarzył się wypadek nad którym p. Dmowski radzi się zastanowić spokojnie, rozważnie, bez frazesów, bez rozognienia namiętności. *Kurjer Warszawski* zaproponował *Gazecie Warszawskiej* porozumienie się z żydami w celu wyboru z Warszawy takiego Polaka, któremu żydzi uznaliby za stosowne oddać swoje głosy. Takim projektem, wobec niedawnych jeszcze artykułów żydożerczych *Gazeta Warszawska* została nieco zaskoczona, więc pisze pod adresem *Kurjera Warszawskiego*:

> Zawsze lepiej jest każdy projekt [illegible] wszystkich [illegible] w odpowiednich gronach [illegible] dopiero występować z nimi w prasie. U nas, niestety, zbyt często dzieje się przeciwnie.

Volens-nolens p. Dmowski zastanawia się jednak, układa przeróżne pasjanse wyborcze, ale karta byłego króla Polskiego w Petersburgu nie chce w nich wypaść żadną miarą.

Żydzi? Ci w razie kompromisu z Polakami, woleliby głosować np. na p. Krzywickiego, „który z całego swego sposobu myślenia (?) i ze swej działalności (?) jest właściwie Żydem", — a Polacy? — Otóż ci przynajmniej Polacy, którzy w *Gazecie Warszawskiej* informowani byli dotychczas, że wszelki kontakt wyborczy z Żydami jest zbrodnią względem Narodu Polskiego, mogliby nie zrozumieć zmiany sytuacji tak nagłej i niespodziewanej, a w każdym razie ich większość będzie wówczas „traktowała wybory z niechęcią, nawet z rozgoryczeniem". P. Dmowski nie miałby prawdopodobnie skrupułów z powodu łumanienia opinji publicznej dotychczas, gdyby nie pewien wzgląd, o którym pisze w *Gazecie Warszawskiej*: „Zrobić ugodę z Żydami i jeszcze przegrać — to już najfatalniejsza polityka, jaką można wymyśleć". Ponieważ jednak w najfatalniejszych okresach swej polityki p. Dmowski ugodę robił i... przegrywał, tym razem może spróbuje z lepszym skutkiem. Z jego artykułu bije ton desperacki, a desperaci, jak wiadomo mają szczęście. *Kurjer Poranny* nie widzi w wyborze p. Dmowskiego na posła przez Żydów żadnej niemożliwości, a nawet przypuszcza, że z Żydami poszłoby daleko łatwiej niż np. z mniej opodatkowanymi wyborcami polakami, na których stronictwu n.-d. nie tak bardzo

znowu zależało, skoro tym razem nie wypełniło swej opatentowanej już misji czuwania nad polskim charakterem Warszawy:

Pertraktacje z cadykiem Sadogórskim pójdą znacznie łatwiej, gładziej i pewniej, niż pertraktacje z Wittem i Stołypinem — to rzecz pewna. A wybory do gminy żydowskiej stwierdzają za każdym razem, że cadyk jest naprawdę cudotwórcą, i że jeżeli zechce, głosy jego owieczek, gdyby to odpowiadało jego kombinacjom i interesom, padłyby zwartą falą nawet na samego Hamana

Jest więc Nadzieja, że zabiegi *Kurjera Warszawskiego*, których zresztą p. R. Dmowski bynajmniej nie lekceważy, nie pójdą na marne. Tylko zamiast asymilatorów poruszone zostaną sfery bardziej wpływowe, a *Kurjer Warszawski* zapewnia, że odpowiedzialność za ewentualne niepowodzenie akcji kompromisowej spadnie przedewszystkim na wyborców żydowskich.

*** Analfabetyzm polityczny naszych stronnictw reakcyjnych zaznaczył się już nieraz dość jaskrawo, lecz trudno było spodziewać się nawet i w tych kołach tak kompromitującego występu jak ostatni list profesora Baranowskiego, nestora ugodowców warszawskich. List ten drukowany w *Kurjerze Warszawskim*, bez komentarzy, owszem z całym pietyzmem przedrukowały *Słowo* i *Kurjer Polski*. Zawiera on tak głęboką naukę polityczną, wyłożoną z tak uroczystym namaszczeniem, że czytelnik nie wie, czy śmiać się czy płakać na tym kazaniu Jest to okaz zwyrodnienia umysłu pod wpływem tresury ugodowej systematycznie i planowo zmierzającej do wypaczania mózgów celem jaknajdokładniejszego przystosowania ich do warunków istniejących. Legalność i lojalność posunięto tam do takiego ideału, że obowiązuje ona nietylko w czynach lecz w myślach, domaga się, by one były zgodne z cenzurą, z postanowieniami obowiązującymi, z przepisami administracyjnymi, wreszcie z ordynacją wyborczą.

Proszę się nie śmiać i nie ruszać ramionami! Profesor Baranowski wcale dobitnie i wyczerpująco wyjaśnia, że wobec dwustopniowości wyborów obowiązuje nas dwustopniowość opinji politycznych i obowiązków obywatelskich. Dosłownie cytujemy jego wskazówki:

Prawyborca odpowiada więc za wartość — to znaczy — za kwalifikację umysłową i moralną *wyborców* Ci znowu biorą na sumienie poważny ciężar odpowiedzialności za posła.

Aby (poseł) mógł odpowiedzieć swojej roli i wysokim wymaganiom z nią związanym, koniecznym warunkiem jest dokonanie wyborów w sposób, odpowiadający celowi, metodą właściwą, wskazaną przez ustawę, która je ustanawia jako dwustopniowe.

Jako *prawyborca* — dopóki nim jestem — nie mam się troszczyć o wybór posła. Wybór ten do mnie nie należy. Moim obowiązkiem i moim zadaniem, za które odpowiadam sumieniem, jest wpisanie ze znanych mi obywateli na liście wyborców tych, których poczytuję za najrozumniejszych, najuczciwszych, za ludzi najgłębszych przekonań. Jest mi obojętnym, czy to będzie republikanin, czy monarchista, konstytucjonalista, czy socjalista, przekonań swoich odpowiednich on nie wprowadzi w życie, nie zmieni ani praw zasadniczych państwa rosyjskiego, ani praw konstytucyjnych przez swój udział w Dumie.

Dalej czytamy jeszcze:

Wszędzie słyszy się tylko pytania: „Kto będzie posłem?“ i drugie: „Jaki będzie program Koła polskiego?“ i dodatkowe trzecie: „Jaki ma być regulamin Koła?“ Pytania istotnie ważne: ale ani ich stawiać, ani ich rozwiązywać w tej wstępnej fazie akcji wyborczej nie można i nie należy“.

Wynika to zdaniem pana profesora z „logiki wyborczej“.

Jako prawyborcy, myśli mojej nie zaprząta, sumienia mego nie obciąża pytanie „Kto ma być posłem?“

Jako prawyborca, zapytany, jaki ma być program Koła polskiego, odpowiadam: „Pytanie to mnie nie zaprząta, pytanie to usuwam z myśli, bo ono mnie poklócić może z pytającym. I mnie i jego popchnie na fałszywą drogę.

Prawyborca niechaj szuka naokoło siebie ludzi odpowiednich na wyborców. Wyborca niechaj spełni sumiennie swój obowiązek .

I tak w kółko kręci się uparcie otumaniona myśl polityczna sędziwego medyka, powtarzana aż przez trzy prasowe gramofony.

Długo trzebaby w Europie i poza Europą szukać wzorów takiego baraniego konstytucjonalizmu.

Wyobraźmy sobie, że zachwycone „logiką wyborczą“ swego mentora oba *Kurjery* wraz ze *Słowem* dokazały tego, że pan Ignacy z prawyborcy zostaje awansowany na wyborcę. Zaskoczony pytaniem, którym do tej pory nie miał prawa głowy sobie zaprzątać, decydować musi nagle a niespodzianie „kto ma zostać posłem?“ Oczywiście, wedle własnej recepty, ogląda się naokoło siebie, zawsze jednak unikając pytań, któreby go z kimkolwiek poklócić mogły. Zadaniem jego jest więc zgadywać życzenia kandydata i współwyborców. Duch święty oświeca go przy tym pierwszym politycznym święceniu. Dostępuje tej łaski, że nazwisko męża, który ma być „mózgiem i sumieniem swego narodu“ jak błyskawica przeszywa mroki jego prawyborczego umysłu.

Jeszcze pół biedy, jeżeli ta błyskawica ma na imię „Dmowski“ albo „Straszewicz“, ale cóż pocznie nieborak „jeśli nieprzewidziane wyroki Opatrzności nakreślą ognistymi błyski słowo „Baranowski“. Brzemię obowiązków wzrasta ponad siły pokornego wykonawcy ustaw zasadniczych. Wczorajszy ubogi w duchu prawyborca musi na własną odpowiedzialność przed przyszłością i przeszłością narodu rozstrzygać: „jaki ma być program Koła polskiego? jaki regulamin?“ O Duchu święty!!! Bądźmy spokojni; pan doktór i teraz nie poklóci się z nikim. Przecież jego zdaniem jest zupełnie wszystko jedno, czy Koło polskie złożone będzie z monarchistów, socjalistów, konstytucjonalistów, republikanów — mniejsza o czcze tytuły, grunt w tym, żeby to byli porządni ludzie. Ponieważ zaś żaden z czcigodnych kolegów nie kradnie, nie zabija, każdy zaś jest piśmienny w kilku językach — więc jakoś to będzie. Z mózgów i sumień takich światłych i zacnych ludzi program za łaską Bożą sam wyrośnie jak pierwiosnek z pod śniegu.

Pan Dmowski czytając to bezdennie naiwne credo polityczne, mówi sobie w duszy: „Gdyby nie było Baranowskiego, należałoby go stworzyć! Więcej takich daj panie Boże! Pełną Polskę samych Baranowskich!! A toż z tak dobrze tresowanym stworzeniem mógłbym pokazywać sztuki, jakich jeszcze żadne Koło polskie nie widziało“.

Z prasy zagranicznej.

*** Wśród socjalistów zachodnio-europejskich coraz częściej wynika spór nad kwestją zachowania się zorganizowanych kadrów robotniczych w razie wybuchu wojny. Podczas, gdy w okresie bezwzględnego tłumienia wszelkich przejawów emancypacji proletarjatu robotnicy, jak twierdził Karol Marks, ojczyzny nie mieli, a więc nie można im jej było odebrać — obecnie, w niejednym kraju najazd odebrać im już może wiele, bardzo wiele.

W miarę rozwoju polityki parlamentarnej *la lutte finale* przestawała być środkiem wyłącznie i jedynie usuwającym niedomagania ustroju kapitalistycznego. Zróżniczkowały się programy partyjne. Współczesny socjalizm dąży do uspołecznienia środków produkcji, lecz równocześnie walczy o poprawę bytu klasy robotniczej w granicach warunków istniejących. A owe warunki w różnych krajach bynajmniej nie są jednakowe... Więc politykę proletarjatu uzależniają powoli nie uznawane przez Marksa kordony, graniczne i różnice narodowościowe.

Już w r. 1900 wołał Vanderwelde, że dla socjalistów wszystkich krajów wspólne zasady taktyczne są niemożliwe. Już w r. 1904, Bebel z trybuny parlamentarnej oświadczył, że robotnik ojczyznę nietylko posiada, ale do ostatniego tchnienia bronić jej będzie, gdyby mu ją odebrać chciano. Zdarzyło się nawet raz w Szwajcarji, że część socjalistów nie sprzeciwiała się wnioskowi o podwyższeniu kontygensu rekruta. Nawet wojna zaczepna w Trypolisie znalazła w niektórych włoskich socjalistach swych obrońców.

Niedawno przywódca socjalistów bawarskich, Vollmar, w mowie sejmowej zapewnił, że demokracja socjalna wszelkich starań dołoży, aby zapewnić państwu pokój, lecz gdyby wojny uniknąć nie było można, wobec ojczyzny w niebezpieczeństwie, wszystko inne musi ustąpić na plan dalszy i socjaldemokraci również staną w szeregu obrońców.

Przeciwko tej mowie Vollmora wystąpił *Leipziger Volkszeitung*:

> W istocie, niemiecka demokracja socjalna postanowiła uchylić się, w razie mobilizacji od jakichkolwiek środków w rodzaju strajku i t. d. Lecz nie twierdzono nigdy, by w razie wojny „również" socjaldemokracja nagle, „wobec ojczyzny w niebezpieczeństwie", miała się zrzec „wszystkiego innego", jakby to z takiego zwrotu „Kriegervereinowego" wyrozumieć było można. Zadania demokracji socjalnej podczas wojny są zupełnie różne od tych, które głosi towarzysz Vollmar. Mówi o nich Rezolucja międzynarodowego zjazdu w Stutgardzie: „W razie, gdyby wojna wybuchnąć miała, należy przyczynić się do jaknajszybszego jej ukończenia, wszelkimi środkami dążyć do tego, by wywołany przez nią kryzys polityczny i gospodarczy pobudził lud, i przez to przyspieszyć upadek kapitalistycznego panowania klas". Ta rezolucja, w której współredagowaniu uczestniczył niegdyś towarzysz Vollmar, mówi coś wręcz przeciwnego, niż oświadczenie w Izbie bawarskiej.

Ale *Leipziger Volkszeitung* nawet w sferach socjaldemokratów uchodzi za partyjną Alpuharę ostatnich Almanzorów ortodoksalnego marksizmu, polskich i niemieckich! Gdy na kongresie zurichskim delegaci hollenderscy, jako środek przeciwdziałania wojnie projektowali strejk rezerwistów połączony z powszechnym strejkiem przemysłowym, Wiktor Adler uprzedzał ich, że „rządy nietylko drżeć przed takim wnioskiem nie zechcą, ale wprost wyśmiewać się z niego będą". A obecnie Bebel i Vollmar, przedstawiciele dwóch różnych kierunków w socjalnej demokracji niemieckiej, zgadzają się na jedno, że w chwili najazdu trudnoby było wypełniać t. zw. programy maksymalne.

KRONIKA.

NIECO LICZB. Od marca do lipca r. b. zapisy na warszawskie kościoły i cele dewocyjne wynosiły — 116,100 rb., na takież same cele na prowincji w Królestwie przeznaczono — 85,000 rb., zaś na Litwie 100,000 rb. Prócz tego na wiosnę zmarły we Francji magnat polski Witold Kaz. ks. Czartoryski zapisał 180,750 rb. na francuskie i włoskie cele dewocyjne.

Prawie pół miljona w ciągu 4-ech miesięcy składają Polacy na „domy boże", gdy w Królestwie ledwie gdzieniegdzie dźwignięto „dom ludowy", gdzie wiele szkół polskich w kraju borykać się musi z trudnościami ekonomicznymi dzięki obojętności licznych zamożnych sfer naszego społeczeństwa, gdy w Gdańsku nad zaniedbanymi od wieków przez Polskę szlachecką brzegami Bałtyku brak jeno 10,000 marek (wyraźnie 4,700 rb.) na rozpoczęcie budowy „Domu polskiego", gdy na naszych kresach nieraz setka rubli podniosłaby rozwój niejednego polskiego zrzeszenia.

Lecz słusznie widać mówią niektórzy, iż w Polsce więcej myślą o zmarłych niżli o żywych...

Są jednak i u nas obywatele, którzy grosz swój zostawiają sobie na chwałę a żywym na pożytek.

Do takich należała p. Mianowska-Borzęcka, zapisując 100 tys. rubli na cele społeczne i na wpisy szkolne wraz z p. Feliksem Marzyńskim, przekazującym cały swój majątek, wynoszący około 140,000 rb. na wpisy dla uczniów szkół polskich, ochrony polskie, Tow. naukowe i Tow. Bibl. publicznej.

W tym czasie zapisano również w Warszawie na cele humanitarne 30,000 rb. a na prowincji 10 tysięcy, co da razem 40,000 rb.

Kasę Mianowskiego w Warszawie obdarzono legatami, wynoszącymi 18,000 rb., zaś Muzeum przemysłu i rolnictwa 8,000 rb.

Ogólna suma zapisana w czasie sprawozdawczym na cele ogólno-społeczne wyniosła 312,000 rb.; kościoły tedy i dewocja dostały o 180,250 rb. więcej.

Liczby te są dość wymownym signum temporis spółczesnego społeczeństwa polskiego.

WYŻSZE UCZELNIE ROSYJSKIE. Dn. 1 stycznia r. 1911 w państwie istniało 10 wszechnic. Słuchaczy było 38,192; najwięcej studjowało na wydziale prawniczym, bo 15,253, następuje na fizyko-matematycznym 9,859 i leczniczym 9,385. Według wyznania liczba słuchaczy przedstawiała się następująco: 27,605 prawosławnych, 2,708 katolików, 3,602 izraelitów. Na utrzymanie uniwersytetów wydatkowano 9,255,088 rubli.

NA DAR NARODOWY 3 MAJA w Galicji wpłynęło w r. b. 42,692 koron i 42 hal., ofiarność w porównaniu z r. ub. wzrosła o 14,541 k. 28 h.

WYBORY BRAZYLIJSKIE A POLACY. Dnia 20 czerwca r. b. odbyły się w nowoutworzonym municypium San Pedro de Marechal Mallet pierwsze wybory na urzędników autonomicznych, w których Polacy, stanowiący tu skupienie największe w całej Paranie, przepro-

wadzili połowę swych kandydatów. Na ogólną liczbę 6 kamerzystów wybrano 1 Rusina i 2 Polaków.

W mieście municypalnym San Matheus prefektem obrany został Polak, p. Stencel, otrzymawszy 68 głosów więcej, niż Niemiec Wolf.

ROZWÓJ SOKOLSTWA POLSKIEGO W PAŃSTWIE AUSTRYJACKIM. Ostatni numer wychodzącego we Lwowie „Przewodnika gimnastycznego „Sokół" zawiera tabelę statystyczną polskich związkowych Tow. gimnastycznych sokolich w Austrji za rok 1911. Związek składa się z VII okręgów, a 231 Towarzystw, które liczą ogółem 29,014 członków, w tym umundurowanych 7,158, a ćwiczących 5,156. Własnych budynków posiadają Towarzystwa związkowe 106, boisk lub placów pod budynek 125. Przychodu miały Tow. związkowe w 1911 roku 1,941,393 koron, rozchodu 1,619,988 kor. Czysty majątek Tow. Związkowych wynosił 3,293,668 kor. Cyfry powyższe, świadczące o poważnym rozwoju Sokolstwa polskiego nie są jeszcze zupełnie dokładne, gdyż przeszło 30 Towarzystw związkowych nie nadesłało Związkowi sprawozdań.

OSSOLINEUM. Ukazało się w druku roczne sprawozdanie biblioteki im. Ossolińskich. Księgozbiór doszedł w roku sprawozdawczym do 135,400 dzieł. Do najważniejszych darów należy legat ks. Władysława Sapiehy, zawierający archiwum rękopiśmienne rodzinne Sapiehów, i archiwum Kossowskiego (dar p. Wybranowskiej). Zbiór druków pomnożyła biblioteka p. M. Derowskim i 300-tomowy komplet dzieł, odnoszący się do wojny francusko-niemieckiej w r. 1870.

Frekwencja korzystających z biblioteki im. Ossolińskich w ostatnim roku przekroczyła liczbę 12,00. Z biblioteką łączy się muzeum im. Lubomirskich. Ze zbioru sztychów i życiu, ze zbrojowni, galerji obrazów i biblioteki muzealnej korzystało 100 osób.

WYSTAWA W GOSTYNINIE. Dnia 21 sierpnia otwarto w Gostyninie wystawę rolniczo-przemysłową, urządzoną staraniem Towarzystwa rolniczego kutnowskiego. Bardzo korzystne wrażenie sprawiał dział przemysłu ludowego, wyroby dzieci z ochronek, włościanek oraz uczennic szkoły Mirosławskiej.

RUCH STRAJKOWY. Związek fabrykantów przemysłowców okręgu moskiewskiego ogłosił drukiem biuletyn o ruchu robotniczym w państwie rosyjskim od stycznia do maja r. b.

W tym czasie strajkowało w Rosji ogółem 613,000 robotników, to znaczy 37 proc. ogółu robotników w państwie. Biuletyn dzieli strajkujących na 4 grupy: pierwsza najliczniejsza, strajkowała na tle przyczyn ekonomicznych, druga zawieszała pracę demonstrując przeciwko wypadkom w kopalniach leńskich, trzecia strajkowała na 1 maja, czwarta grupa obejmuje, tych którzy strajkowali tytułem protestu przeciwko karom za strejk 1 maja. W strajku 1 maja uczestniczyło ogółem 300,000 robotników, z powodu wypadków w kopalniach leńskich 215,000 robotników.

Z R. SJI. Ogłoszono wyrok w sprawie o bunt saperów pod Taszkentem: 15 oskarżonych skazano na karę śmierci przez powieszenie, 122 na ciężke roboty, 79 na roty aresztanckie 15 na oddanie do batalјonów dyscyplinarnych, 7 uwolniono.

W twierdzach w Sewastopolu i Kronsztadzie ogłoszono stan wojenny.

WSPÓŁCZESNA PRASA POLSKA. Według obliczeń p. Jarkowskiego, redaktora wydawanego w Berlinie „Wykazu prasy polskiej", ogólna liczba wychodzących w roku bieżącym na całym świecie dzienników, gazet oraz czasopism polskich wynosi przeszło 1050, z których 350 stanowią pisma samoistne, zaś 100 — pisma dodatkowe. Dzienników i gazet t. j. pism codziennych lub wychodzących po kilka razy w tygodniu jest ogółem 175. Resztę pism stanowią tygodniki, miesięczniki, kwartalniki i t. d. Z dzienników i gazet wychodzi w Królestwie na Litwie i w Cesarstwie — 44, w Galicji i Austrji — 51 w zaborze pruskim i w cesarstwie niemieckim — 43, w Ameryce — 37.

OFIARY.

Na wpisy dla biednych uczniów szkół prywatnych polskich od następujących pracown. T-wa Nikopol. Marjupolskiego w Sartanie, mianowicie:

L. Wasilewski rb. 10, F. Jabłkowski rb. 10, T. Kobyliński rb. 3, S. Prauss rb. 3, B. Jankowski rb. 5, L. Gorazdowski rb. 3, G. Weker rb. 3, S. Kleinsznek rb. 3, S. Hegner rb. 2, H. Cywiński rb. 2, S. Pilarski rb. 1, W. Lenk rb. 1, A. Kozikowski rb. 1, S. Szczawiński rb. 1, J. Rayski rb. 1, J. Woroszyłło kop. 50, A. Prokopowicz kop. 50, P. Mitrocki kop. 50, R. Swietliński kop. 75, W. Popiel kop. 50, L. Czaykowski rb. 1, Hoppen kop. 50, W. Zieliński kop. 50, S. Słojowski kop. 50, B. Swiestowski kop. 50, S. Krotkiewski kop. 50. Ogółem rb. 55, kop. 25.

Książki nadesłane do Redakcji:

Włodzimierz Dzwonkowski: „Przyjaciel ludzkości. Warszawa wiosną 1794 r." Listy prezydenta Zakrzewskiego do Tadeusza Kościuszki. Warszawa, 1912.

A. E. H. Lowe, profesor uniwersytetu oksfordzkiego: „Zasady rachunku różniczkowego i całkowego". Z upoważnienia autora przetłumaczyli St. Kalinowski i Wł. Wojtowicz. Nakład Henryka Lindenfelda. Warszawa, 1912. Str. 226.

Świat i Człowiek. Wydanie nowe. Zeszyt II i III, z zapomogi kasy im. Mianowskiego. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. Warszawa, 1912. Cena rb. 1 kop. 60 i rb. 1 kop. 80.

Jan Hempel: „Doświadczenie religijne". Kraków. Odbitka z „Krytyki". Str. 26.

Stefan Żeromski: „Uroda Życia". Powieść w dwóch tomach. Kraków, spółka nakładowa „Książka".

Zofja Rygier-Nałkowska: „Kobiety". Powieść, wydanie II. Kraków. Sp. nakład „Książka".

Dr. Florjan Znaniecki: „Humanizm i poznanie". Wydawnictwo Przeglądu Filozoficznego. Warszawa 1912.

Jan Powalski: „W słońcu". Powieść, wydawnictwo M. Arcta w Warszawie.

Gabrjela Zapolska: „Panna Maliczewska". Sztuka w 3 aktach. Warszawa, nakład i druk Tow. Akc. J. Orgelbranda.

Dr. Józef Nusbaum-Hilarowicz, profesor Wszechnicy Lwowskiej. „Rozwój świata Zwierzęcego". Tom I. Embrjologja ogólna. Nakładem Henryka Lindenfelda. Warszawa 1912.

Stanisław Pieńkowski: „Zdanie Warszawy o Pochodzie na Wawelu." Warszawa 1912. Nakładem autora. Str. 110.

Prenumerata „Prawdy“

wraz z bezpłatnym dodatk[iem]

W Warszawie: miesięcz. kop. 70, kwartal. rb. 2, rocz. [illegible]

Z przesyłką poczt. do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Redaktor przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt od 4—5 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie kioski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Za redaktora: **Wincenty Rzymowski.** Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk. L. Bogusławskiego, Warszawa, Ś-to Krzyska 11.